

# Wiesław Sonczyk

---

## O "Polityce" i polityce

---

Media, Kultura, Społeczeństwo nr 1 (3), 193-197

---

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIESŁAW SONCZYK

Wyższa Szkoła Humanistyczno-Ekonomiczna w Łodzi

Uniwersytet Warszawski

w.sonczyk@wp.pl

## O „POLITYCĘ” I POLITYCĘ

Wiesław Władyka, *„Polityka” i jej ludzie*, POLITYKA Spółdzielnia Pracy, Warszawa 2007, (s. 194)

Tygodnika „Polityka” dokładniej przedstawiać nie trzeba. To przecież jeden z najbardziej znanych periodyków opiniotwórczych, zarówno w okresie PRL, jak i obecnie. Dość powiedzieć, że w roku 1988 pismo ukazywało się w przeciętnym nakładzie jednorazowym 380 tys. egz., rozchodząc się właściwie bez zwrotów (0,5%), przy czym w prenumeracie sprzedawano aż 54% nakładu. To było i jest nadal pismo kojarzące się z plejadą znanych autorów, w tym co najmniej kilkunastu to wybitni dziennikarze, mający trwałe miejsce w historii powojennej prasy polskiej (m.in. Dariusz Fikus, Zygmunt Kałużyński, Ryszard Kapuściński, Hanna Krall, Krzysztof Mrozwicz, Daniel Passent, Stanisław Podemski, Michał Radgowski, Zygmunt Szeliga, Krzysztof T. Toeplitz, Andrzej K. Wróblewski). Ale po dzień dzisiejszy szczególnym identyfikatorem personalnym tego tygodnika, zwłaszcza w opinii jego starszych wiekiem czytelników, są dwa nazwiska: Mieczysława F. Rakowskiego – wieloletniego redaktora naczelnego, premiera i działacza politycznego (obecnie redaktora naczelnego miesięcznika „Dziś”) i Jerzego Urbana – publicysty, felietonisty,

rzecznika prasowego rządu (obecnie redaktora naczelnego tygodnika „Nie”). Spośród licznych dowodów na to, że pismo jest nadal powszechnie znane opinii publicznej, warto wymienić m.in. relatywnie wysoki przeciętny nakład jednorazowy (148,5 tys. egz. w styczniu 2008 r.) oraz wskaźnik zasięgu społecznego (około 8%). Na jego temat istnieje też obszerna, mierzona liczbą publikacji, literatura przedmiotu, która powiększa się z roku na rok. Kolejna książka, wydana z okazji 50. rocznicy założenia tygodnika, została napisana przez Wiesława Władykę – znanego historyka prasy i dziejów najnowszych, pracownika naukowego Uniwersytetu Warszawskiego, a jednocześnie (od 1985 r.) dziennikarza tego pisma.

Tytuł książki Władyki nawiązuje do wydanej w 1981 r. niewielkiej, lecz głośnej swego czasu książki *POLITYKA i jej czasy*, autorstwa M. Radgowskiego – jednego z najbardziej znanych felietonistów tygodnika, który opuścił redakcję po wprowadzeniu stanu wojennego. Jednak charakterystyki burzliwej historii pisma i oceny jego formuły wydawniczej oraz społecznego znaczenia Władyka dokonuje

głównie poprzez przedstawienie indywidualnego wkładu pracy i roli najważniejszych członków zespołu redakcji „Polityki”, którzy bądź jako autorzy głośnych tekstów, bądź jako jego kreatywni redaktorzy nadali piśmisku wyjątkowy charakter i status. Potwierdzeniem tego była zgodna opinia medioznawców i politologów, że drugiego takiego piśmiska nie było nie tylko w PRL, ale i w ówczesnych krajach tzw. demokracji ludowej. Warto przy okazji podkreślić, że wybrany przez Władysławę punkt widzenia jest bardzo rzadko przyjmowany przez autorów monografii dotyczących nie tylko prasy drukowanej, ale także rozgłośni radiowych czy telewizyjnych. A szkoda, bo przecież formuła wydawnicza piśmiska, jego poczytność, społeczny odbiór i opinie czytelników zależą w największym stopniu właśnie od ludzi tworzących zespół redakcyjny, ściślej – od ich wyobraźni, ambicji, warsztatowej sprawności i woli wydawania co tydzień wspólnego dzieła w postaci kolejnego numeru.

Książka nie jest – taki zresztą był zamysł autora – publikacją naukową. Świadczy o tym m.in. jej język i publicystyczny styl, którym autor się posługuje. Widać to również w typowo publicystycznych, często polemicznych, tytułach poszczególnych rozdziałów, np. „Paskudny początek”, „Ile doświadczenia, a ile przyszłości?”, „Pękła rura”, „I już był Sierpień”, „Umarła klasa?” itp. Ale nie jest to typowa publicystyka, oparta wyłącznie na subiektywnym postrzeganiu przeszłości tygodnika i jego dzisiejszej formuły wydawniczej czy pozycji na rynku prasowym. Dość powiedzieć, że formułując ocenę rozmaitych wydarzeń z historii piśmiska (to prawie połowa książki) czy jego burzliwych przeobrażeń po roku 1990 (zmiana wydawcy, formuły wydawniczej itd.), Władysław powołuje się na rozmaite dokumenty i wypowiedzi (m.in. polityków, medioznawców), teksty prasowe, a nawet opracowania naukowe. Niektóre z nich we fragmentach cytuje, niestety, nie podając zazwyczaj pełnego adresu bibliograficznego cytowanego źródła.

Wprawdzie nie ma powodu, by szczegółowo omawiać historię tygodnika „Polityka”, ale warto przypomnieć, że – jak w przypadku wielu innych piśmisk w okresie PRL – jego po-

wstanie wiązało się z konkretną decyzją polityczną, w tym przypadku podjętą na najwyższym szczeblu, w styczniu 1957 r. Pewne jest natomiast, że Władysławowi Gomułce musiało bardzo zależeć na uruchomieniu piśmiska, skoro pierwszy numer ukazał się w iście ekspresowym tempie (z datą 27 lutego – 5 marca). W opinii Władysławy „nowy pierwszy sekretarz partii najwidoczniej uważał, że rewolucja osiągnęła swoje cele podczas VIII Plenum Komitetu Centralnego w październiku 1956 r., a fakt przejęcia przez niego na tym plenum władzy wyczerpał program społeczny tejże rewolucji. Krytykowanie i postulowanie, rewindykacje materialne i polityczne – to wszystko, co kruszyło stary system i wymuszało zmiany, dobre było przed Październikiem”. Ten – w ocenie autora – „paskudny początek” tygodnika, którego rezultatem była niewielka sprzedaż (w roku 1958 – przeciętnie zaledwie około 13 tys. egz.), trwał kilkanaście miesięcy – do maja 1958 r. Redaktorem naczelnym został wtedy Mieczysław F. Rakowski, który – jak się miało okazać – kierował redakcją aż do roku 1982, przeprowadzając ją przez kolejne kryzysy społeczno-polityczne i chroniąc przed zagrożeniami, które z nich wynikały (z likwidacją piśmiska włącznie). Władysław nie kryje szacunku i podziwu dla nowego szefa, wskazując w szczególności na jego umiejętność i wytrwałość w stopniowym budowaniu ambitnego zespołu dziennikarzy i autorów. Co więcej, stawia tezę – bodaj podstawową dla swojej oceny historii piśmiska – że to właśnie zespół redakcyjny „Polityki” był zawsze wartością samą w sobie, choćby dlatego, że „właściwie aż do 1981 roku będzie stanowił zbiorowość wyjątkową, rozumiejącą się w lot, lojalną wobec siebie i wobec szefa, stającą za nim murem w sytuacjach zagrożeń zewnętrznych, a tych nie brakowało”. W zakończeniu książki – rozwijając powyższą tezę – stwierdza: „POLITYKA była i jest piśmiskiem, którego szczególną – a może wręcz najbardziej podstawową – cechą jest to, że jest redagowana i pisana przez zespół ludzi, którzy pracują z sobą od lat. [...] Ta długotrwałość współpracy tworzy skomplikowane, lecz bardzo silne kody porozumienia, stylu, sposobu rozumowania i argumentacji. I mimo wszystkich różnic, jakie występują również i w tym zbiorze ludzi,

jest także w nim silna więź i wspólnota odpowiedzialności za swoją gazetę. POLITYKA jako goły tytuł, firmowana przez inny zespół dziennikarzy i redaktorów natychmiast stałaby się inna i natychmiast – można sądzić – przestałaby istnieć, rozleciałaby się. Jeśli więc mogła już w Trzeciej RP nadal żyć i być potrzebna swoim czytelnikom, to tylko na tej zasadzie, że w procesie uwłaszczeniowym, któremu podlegała po 1989 roku cała ówczesna prasa polska, POLITYKA została przejęta przez dziennikarzy, którzy ją robili”. I chociaż zapewne znajdują się czytelnicy omawianej książki, których subiektywizm i kategorię wniosków Władki mogą drażnić, a jego autorską ocenę wartości zespołu redakcyjnego (którego jest członkiem) potraktują jako jednostronną, powierzchowną i zbyt entuzjastyczną, to dla medioznawcy opisana sprawa jest godna uwagi i głębszej analizy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że tygodnik „Polityka” pozostaje obecnie bodaj jedynym spośród kilkudziesięciu byłych pism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, uwłaszczonych na początku lat 90. przez komisję likwidacyjną tego concernu, które nieprzerwanie ma tego samego właściciela – dziennikarską spółdzielnię pracy. To swoisty fenomen na naszym rynku prasowym, na którym przecież nieustannie dokonują się zmiany własnościowe.

W okresie PRL tygodnik „Polityka” był przez opinię społeczną kojarzony z szeroko rozumianą władzą – partyjną i państwową, głównie zresztą za sprawą Mieczysława F. Rakowskiego, pełniącego wysokie funkcje w kierownictwie partii i w rządzie. Ten związek z władzą – choć zazwyczaj bywał korzystny dla redakcji – w jednym przypadku okazał się wręcz zabójczy, zwłaszcza jeśli chodzi o wewnętrzną spójność zespołu. Gdy w roku 1981 Mieczysław F. Rakowski został wicepremierem, a wraz z nim redakcję opuścił także Jerzy Urban (obejmując funkcję rzecznika prasowego rządu), w zespole redakcyjnym zaczął dojrzewać konflikt, którego źródłem najważniejszym (ale bynajmniej nie jedynym) stał się właśnie stosunek do władzy i jej programu reform. Część zespołu redakcyjnego nie chciała pogodzić się z nową rolą pisma, traktowanego jako nieformalny organ rządowy, opowiadając się – mniej lub bardziej jednoznacznie – po stro-

nie NSZZ „Solidarność”. Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało, że „podskórny” dotąd konflikt wewnątrzredakcyjny zamienił się w trwały rozłam (Władka używa określenia „rozjazd”), w rezultacie którego kilkanaście osób odeszło z redakcji (m.in. Magdalena Bajer, Dariusz Fikus, Maciej Iłowiecki, Hanna Krall, Aleksander Paszyński, Anna Strońska, Andrzej K. Wróblewski). W ówczesnym środowisku dziennikarskim była to sytuacja kuriozalna, ponieważ zespół nie został rozbitý – jak to wtedy bywało – w wyniku administracyjnej decyzji komisji weryfikacyjnej, ale rozpadł się niejako na własne życzenie, w rezultacie – jak to określił Dariusz Fikus – afektowanej polaryzacji poglądów poszczególnych dziennikarzy. Okazało się więc, że chociaż od początku pismo tworzył zgrany, niemal rodzinny zespół ludzi, wzajemnie się uzupełniających, różniących się wprawdzie mentalnie i charakterologicznie, ale ciągle zwarty, a konflikty rozwiązujący w swoim wnętrzu, to jednak tak wielkiej próbie nie potrafił sprostać. Trafnie i barwnie określił to Jerzy Urban, który – w wywiadzie udzielonym Teresie Torańskiej – stwierdził: „i stało się tak, że zespół POLITYKI, który przez całe lata był grupą ludzi podobnie myślących, jednorodny w doborze celów i metod ich osiągania, razem wojujący na różnych etapach i wygimnastykowany w godzeniu pryncypiów ustrojowych z pokręconą rzeczywistością – nagle się rozpadł. W redakcji nie było już żadnych rozmów. Te dawne, duszne, całonocne, przy wódce, skończyły się. A ja, który kierowałem reporterami i publicystami i byłem jednym z naturalnych liderów tej grupy, utraciłem status przywódcy. Źle się z nimi czułem. Raziło mnie, że koledzy trochę należą tu, trochę tam”.

Należy podkreślić, że autor nie ogranicza się wyłącznie do prezentacji zespołu redakcyjnego „Polityki”, choć takie podejście sugeruje tytuł książki. Owszem, jest mowa o rozmaitych, mniej lub bardziej znanych dziennikarzach, ale wiedza ta podawana jest – jak na historyka dziejów najnowszych przystało – w szerszym kontekście historycznym. Dzięki temu książka jest swoistym podręcznikiem powojennej historii Polski. Dla przykładu: omawiając początki działalności tygodnika, Władka wskazuje na bardzo silne polityczne

uwarunkowania pracy dziennikarzy i oceny ich zawodowej autonomii. Pokazuje też stan relacji między władzą a mediami, ilustrując go m.in. fragmentem znamiennej wypowiedzi W. Gomułki: „Trzeba będzie dziennikarzom wyperswadować bzdurną myśl, że oni są jakimś drugim, równorzędnym czy nawet ponad kierownictwem partyjnym stojącym czynnikiem. Bo tym oni nie są i być nie mogą. [...] Obserwujemy, że najłatwiej wypłynąć na fali żądań, na fali demagogii. To się czyta, to się przyjemnie czyta, to jest popularne. I wielu dziennikarzom wydaje się, że są działaczami, że wszystko jest właśnie ich dziełem”.

W książce Władki jest też wiele wątków prowokujących do głębszej refleksji, a nawet poważnych medioznawczo-politologicznych analiz. Jednym z nich jest z pewnością rola „Polityki” w przełomowych dla kraju wydarzeniach, choćby bezpośrednio przed, w trakcie trwania i po zakończeniu obrad „okrągłego stołu”. Dziś mało kto pamięta jeszcze, że tygodnik – poprzez swoje teksty – przyczynił się, w możliwy dla siebie sposób, do tego sukcesu politycznego i społecznego jakim – mimo rozmaitych wątpliwości i zastrzeżeń – był „okrągły stół”. Warto więc przypomnieć, że – korzystając ze szczególnego statusu pisma, przejawiającego się m.in. w pobłażliwości cenzury – redakcja publikowała liczne opinie i rozmowy z prominentnymi przedstawicielami strony rządowo-partyjnej i solidarnościowo-opozycyjnej, zainteresowanymi podjęciem rzeczywistego dialogu na temat przyszłości kraju i społeczeństwa, w tym także zmianami ustrojowo-politycznymi. Popierając jednoznacznie program rządu Mięczyńskiego, artykułowano jednocześnie i aprobowano podstawowe postulaty ówczesnej opozycji, m.in. ustanowienie pluralizmu związkowego, reaktywowanie legalnej działalności NSZZ „Solidarność”, zmianę formuły sprawowania kierowniczej roli przez PZPR, głęboką nowelizację systemu prawnego, możliwość legalnego istnienia mediów niezależnych itd. Ważnym wydarzeniem politycznym i medialnym było opublikowanie w pierwszym numerze z roku 1989 obszernego wywiadu z Lechem Wałęsą, opatrzonego symptomatycznym tytułem *...dlatego musimy się dogadać*.

Opisując przemiany dokonujące się w formule wydawniczej „Polityki” po „okrągłym stole”, Władka zwraca uwagę na konieczność – jak to określa – znalezienia nowego języka opisu rzeczywistości (w szczególności w kontekście zbliżających się wyborów parlamentarnych). Cytuje fragment jednego ze swoich tekstów drukowanych wtedy w tygodniku, w którym stwierdzał: „Stajemy przed nowym sporem o uniwersalia, uczymy się słów, szukamy ich prawdy, z coraz większą niechęcią i znużeniem przedzieramy się przez zużyte już formuły, slogany i zaklęcia. A jest ich wokół nas wiele – te stare, znane od dziesiątków lat, i te nowszego chowu. Z uwagą zaś i radością wychytujemy wszystko, co świeże i twórcze w myśleniu, co może znamionować politykę przyszłości i jej klimat”. Zwraca też uwagę na nową rolę publicystyki politycznej, czyli tej formy wypowiedzi dziennikarskiej, która bodaj od początku stanowiła cechę charakterystyczną „Polityki”: „Publicystyka polityczna w warunkach ograniczeń wcześniejszych dekad była gatunkiem dziennikarskim dość specyficznym. Używana była przede wszystkim do odprawiania obrzędów dworskich, specjalizowali się w niej dziennikarze jakoś tam politycznie koncesjonowani, grający mniej czy bardziej subtelne gry z władzą i czytelnikami, nade wszystko jednak z władzą. [...] Teraz zaczynało to wyglądać inaczej, zwiększyło się niepomierne pole wypowiedzi i ich wolność, a też rosła potrzeba i konieczność, by o polityce pisać i o nią się kłócić, zwłaszcza, że w dyskursie publicznym, powszechnym pojawiła się publicystyka »Gazety Wyborczej«, zmieniająca całkowicie sensy i warunki tegoż dyskursu”.

W drugiej części książki Władki – choć formalnie nie ma takiego podziału – rozpoczynającej się rozdziałem pt. „Polityka na swoim”, znajdują się ciekawe rozważania na temat realiów współczesnego systemu prasowego w Polsce. Warto zwrócić uwagę, że od roku 1990 „Polityka” to nie tylko pismo, ale i przedsiębiorstwo wydawnicze – jedna z nielicznych obecnie spółdzielni dziennikarskich, a więc podmiotów prawnych uwłaszczonych przed laty przez Komisję Likwidacyjną RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Uwłaszczenie uchodziło wtedy za najbardziej korzystny z punktu wi-

dzenia zespołu redakcyjnego wariant prywatyzacji pionu prasowego tego koncernu. Odslaniając nieco kulisy działalności wydawnictwa POLITYKA Spółdzielnia Pracy, Władyka nie jest jednoznaczny w ocenie jego statusu; stwierdza bowiem: „Ten swoisty dziwolak, jakim była i jest Spółdzielnia – jako forma organizacyjna i jako wspólnota redakcyjno-dziennikarska – dała efekty nie do końca jeszcze wyważone. Z jednej strony rodziła zawsze wiele kłopotów proceduralnych i prawnych, zmuszała do nieefektywnej często mitręgi, z drugiej jednak pozwalała zachować jakąś więź wspólnotową, która działała, nawet jeśli w zawołaniu »kolego spółdzielco« tyle było ironii. »Uspołeczniła« przecież w zespole wiele konkretnych problemów przedsiębiorstwa, rozkładała odpowiedzialność za wiele strategicznych decyzji na wiele osób i być może chroniła przed popełnieniem kardynalnych błędów. A też była dziwną dość przygodą w życiu wielu dziennikarzy, zwłaszcza tych, którzy pełnili dwie role naraz. Byli dziennikarzami w swoim piśmie i jednocześnie właścicielami tego pisma. Rano myśleli o pomysłach i tekstach, redagowali je, a wieczorem o tym, ile pieniędzy przeznaczyć na marketing i jakie rury kanalizacyjne kupić do

nowej siedziby”. Wbrew pozorom ani nie jest łatwo wywiązywać się z obu tych ról, ani nie pozostaje to bez wpływu na ogólną sytuację redakcji, formułę wydawniczą pisma itd.

Książkę Władyki warto polecić nie tylko studentom dziennikarstwa czy szerzej – ludziom sposobnym się do podjęcia zawodu dziennikarskiego. Powinni po nią sięgnąć i dokładnie przeanalizować także medioznawcy, socjologowie i politolodzy oraz wszyscy ci, których interesuje najnowsza historia Polski. „Polityka” to przecież bardzo obszerny fragment i ważny element tej historii. Książkę Władyki czyta się łatwo, z chęcią i rosnącą ciekawością; pewnie dlatego, że jest umiejętnie napisana. Nie razi przesadną naukowością, ale też nie jest banalna w treści. Władyka ujawnia sporo ciekawych faktów z redakcyjnego archiwum i zza kulis władzy, przeplatając od czasu do czasu sprawy ważne i bardzo ważne dowcipnym wtrętem, żartem, humorem. Jeden z recenzentów książki – J. Myśliński – napisał na łamach „Rocznika Historii Prasy Polskiej”, że spod pióra W. Władyki „wyszło dzieło zgrabne, naukowe w treści a publicystyczne w formie”. To chyba najbardziej lakoniczna, ale i pozytywna opinia.